

Bóg jest miłością: sufizm

BDPM poszukuje zakazanego bóstwa. Liczę na szaloną miłość. Zawróć mi w głowie i zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas serce. Czy to ty jesteś moim ukrytym skarbem?

Zmierzam na północ, w kierunku Mendocino, zapuszczając się głęboko w kalifornijskie zagłębienie marihuany. Słucham sobie Doorsów i zastanawiam się, w co się pakuję. Zapisalem się na tygodniowy obóz sufich. To była spontaniczna decyzja, częściowo zainspirowana fascynującym połączeniem słów „sufi” i „obóz”, po części zaś kuszącą broszurką. „Przyjdź i napij się z ukochanym” – głosiło hasło reklamowe umieszczone obok wizerunków przysadzistych kielichów rodem z renesansowej karczmy. Sufizm to nie tylko mistyczne serce islamu – ścieżka poetów i ekstazyków. Jego zwolennicy są również znani jako „islamistyczni pijacy”. Liczę na jakieś wino.

Poza tym chcę od razu rzucić się w wir islamu. Religia ta budzi więcej reakcji niż jakiegokolwiek wyznanie w moim karnecie. To jedno słowo, które oznacza zarówno „podporządkowanie się”, jak i „pokój”, wywołuje strach, zmieszanie, dodatkowe kontrole na lotniskach. Islam jest postrzegany jako religia piękna i pokoju bądź wojny i nietolerancji – zależy kogo i kiedy spytać. Nie wszyscy się na nim znają, ale wszyscy mają na jego temat jakąś opinię, nawet jeśli się nią z nikim nie dzielą. Allah jest jak stutonowy wieloryb na środku domu. Trudno Go ignorować.

Jako reporter National Public Radio na własne oczy widziałem ciemne strony tej wiary. I chodzi nie tylko o zamachy terrorystyczne przeprowadzane w imię islamu, lecz także o surowość i twardość serc jego wyznawców, które bardzo mi się nie spodobały. Islam wydawał

mi się wtedy równie srogi i bezwzględny jak arabska pustynia, gdzie się narodził. Oczywiście zdarzały się wyjątki. W Indiach natknąłem się na jego delikatniejszy rodzaj. Mieszkałem w Delhi, w muzułmańskiej dzielnicy Nizamuddin, nazwanej na cześć sufickiego świętego z XIII wieku. Nie dostrzegłem tam surowości, tylko spokój i radość. Nizamuddin było niczym kalejdoskop kolorów, muzyki i przyjaznej atmosfery. Ludzie uśmiechali się do siebie. Co więcej, uśmiechali się do mnie, do n i e w i e r n e g o. Czy muzułmanie tam mieszkający byli jacyś niezwykli, czy po prostu ujrzałem wreszcie „prawdziwe oblicze” islamu?

Pytanie to tłucze się w mojej głowie, kiedy sunę wynajętym pt cruiserem, myśląc słowa piosenki Jima Morrisona. *Cośtam love me gladly, wanna cośtam badly*. Zauważam ręcznie malowany drogowskaz z serduszkami (sufi lubią serca) i strzałką: tędy do obozu. Skręcam w drogę gruntową i wjeżdżam pod sklepienie strzelistych sekwoi. Natychmiast spada mi ciśnienie. Potem dostrzegam, że nie mam zasięgu, więc ciśnienie znów się podnosi. Spokojnie, powtarzam sobie, to nawet lepiej. Nawet bardzo dobrze. Kontakt z przyrodą to od dawna praktykowany sposób na poszukiwanie siebie. Robili tak Thoreau, Gandhi i ten gubernator Karoliny Południowej, który przeszedł Szlak Appalachów. Ci kolesie nie wpadali w panikę, kiedy zabrakło im kresek w telefonie, więc ja też będę twardy. Porozkoszuję się samotnością. Zresztą może w obozie będą mieli WiFi.

Podążam serduszkowym szlakiem po coraz gorszej szosie pomiędzy coraz wyższymi drzewami, aż wreszcie trafiam na miejsce. Parkuję i idę do okienka rejestracji. Jest rześko i chłodno, znacznie chłodniej, niż zakładałem, pakując się na obóz. Zadzieram głowę i przyglądam się sekwojom, które wyciągają się ku niebu, zasłaniając słońce. Te drzewa rosły tu setki lat przed moimi narodzinami i stać będą jeszcze kilka wieków po mojej śmierci.

– Witajcie, obozowicze! – wrzeszczy Richard, komendant obozu, przystojny starszy pan, od stóp do głów ubrany w czerń. Na dźwięk słowa „obozowicze” przypomina mi się podstawówka. Obóz sufich ma

jednak inny klimat. Mamy tu poświęcać czas na poznawanie mistycyzmu, własnej duszy i – mam nadzieję – paru butelek kalifornijskiego merlota, albo i zinfandela. Najpierw jednak, wyjaśnia Richard, musimy zająć się kilkoma przyziemnymi zagadnieniami. Każdego ranka o szóstej trzydzieści będziemy się spotykać na wspólnej medytacji. Dzwonek o siódmej sygnalizuje śniadanie. Po posiłku pójdziemy do lasu, aby czytać „święty rękopis natury”, cokolwiek to znaczy.

– Zapewniamy środki owadobójcze – dodaje Richard skwapliwie.

Rozglądam się. Większość obozowiczów to podstarzali hipisi w różnym stopniu zakonserwowania. Wciąż noszą długie włosy, lecz kitki mają rzadsze i siwe, a ich nóżki nie chcą się już zgrabnie składać w pozycję lotosu. Część z nich poprzywoziła ze sobą dzieci, które wyglądają, jakby odziedziczyły po rodzicach skłonność do niesubordynacji. Bunt młodzieży wyraża się jednak głównie poprzez kolor włosów. Jeden fioletowowłosy nastolatek ma na szyi coś w rodzaju psiej obroży, inny nosi fryzurę przypominającą lody włoskie. Widzę przedstawicieli wszystkich najpopularniejszych religii – od rozczarowanych judaizmem żydów po byłych katolików. Są zadowoleni, że udało im się znaleźć wiarę, w której „nikt nie mówi im, że robią coś nie tak”, jak to ujęła jedna z obozowiczek.

Richard każe nam spojrzeć na tygodniowy plan zajęć. Mówi, że wszystkie są nieobowiązkowe, nie musimy uczestniczyć w żadnych, ale ja czuję presję otoczenia. Zerkam na plan. Istny szwedzki stół ofiar religijnych: hinduistyczna joga, medytacja buddyjska, japońska ceremonia parzenia herbaty, warsztaty literackie, analiza snów według teorii Junga, astrologia. Są też jakieś zajęcia nawiązujące do tradycji sufich, ale niezbyt dużo. Jak biedna Alicja wpadłem do króliczej nory. Mój królik wyznaje New Age.

Następnego ranka o szóstej trzydzieści zbieramy się w przestronnej auli, wyglądającej trochę jak hipisowskie schronisko górskie. Z belek sufitowych zwieszają się flagi reprezentujące dziewięć religii. Nad kominkiem wisi zdjęcie Hindusa z brodą, patrzącego gdzieś w przestrzeń. To Hazrat Inayat Khab, muzyk i mistyk, który w 1910 roku zaszczerpił sufizm w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie od

zawsze byli narodem niespokojnych dusz, a dziewiętnastowieczni transcendentaliści – Whitman, Emerson i Thoreau – stali się uosobieniem tej duchowej tęsknoty. Czytając ich, można pomyśleć, że ma się przed sobą tłumaczenie z sanskrytu albo z klasycznej chińskiego. Świadomie lub nie, naśladowali tradycję Wschodu, a Wschód w końcu zaczął zapożyczać od nich. Pisma Gandhiego są przecież inspirowane dziełami Thoreau.

– Witajcie, święte istoty! – mówi nasz instruktor, facet o imieniu Shabda (dawniej Peter).

Nie czuję się święty i, szczerze mówiąc, o tej porze bez porannej kawy niespecjalnie przypominam jakąkolwiek istotę. Medytujemy. Albo raczej: inni medytują, a ja przyglądam się z boku, z upatrzonego miejsca przy drzwiach. Przysuwa się do mnie jakaś kobieta i mówi:

– Jeśli sam nie spróbujesz, nie załapiesz, o co w tym chodzi.

Wiem, że ma rację, i chcę to przyznać, ale ona natychmiast zmienia temat i zaczyna opowiadać o wędzonej zielonej herbacie z Chin, która podobno pomaga na trawienie, i o przeciwutleniaczach.

– Poczujcie słodki smak powietrza wypełniającego wasze płuca – mówi Shabda. – Napełnijcie serca kochającą łagodnością. (Dobra, jasne, ale ja bym wolał napełnić serce kochającą kofeiną, i to zaraz).

Wreszcie słyhać upragniony dzwon. Dostajemy pyszne, obfite śniadanie i mocną czarną kawę. Sufi mawiają: „Kto zasmakuje, ten pozna”. Mają na myśli bezpośrednie doświadczenie boskości, ale tę samą koncepcję można odnieść do śniadania. Napełniwszy brzuchy i uzupełniwszy poziom kofeiny we krwi, zdejmujemy buty i ustawiamy się w okręgu. Tutaj nazywa się to „kręgiem samodoskonalenia”. Mamy biegać w kółko. Niemal natychmiast łapiemy się za ręce. Tańczymy ku czci bogini Tary, która ma coś wspólnego ze szczęściem i cnotą, ale raczej nie z islamem.

– Modlimy się całym ciałem – zauważa ktoś, a tempo tańca staje się coraz szybsze.

Mylę kroki i udaje mi się kopnąć sąsiada. Jestem wykończony, więc mówię osobie, którą trzymam za rękę, że muszę zrobić sobie przerwę.

– Dobrze – mówi ta osoba. – Jesteś w kontakcie ze swoim ciałem.

Z boku cały krąg wygląda jak jeden wielki organizm, nieustannie rozszerzający się i kurczący. Patrząc na zręczne ruchy obozowiczów, a moje serce z wolna wypełnia zazdrość. Niedobrze. Muszę tam wrócić. Wracam więc i natychmiast żałuję swojej decyzji, bo podczas kolejnego tańca trzeba zajrzeć partnerowi głęboko w oczy i powiedzieć: „Niech obecność Boga oświeci twe serce teraz i na wieki”. Czuję się niezręcznie. Nie znam przecież tych ludzi. Jak mam coś takiego powiedzieć? Do tego zawsze miałem problemy z kontaktem wzrokowym i wolę go unikać. Moją partnerką jest nastoletnia dziewczyna z kolczykiem w nosie. Patrzy na mnie i mówi: „Niech obecność Boga oświeci twe serce teraz i na wieki”. Jestem całkowicie zaskoczony, bo mówi to zupełnie szczerze. Powtarzam formułkę po niej, ale bez przekonania. Chciałbym naprawdę jej tego życzyć, ale nie potrafię. Czy to znaczy, że jestem zły?

I tak płynie czas na obozie sufich. Zaczynamy dzień buddyjską sutrą, potem ćwiczymy jogę albo parzenie herbaty. W piątkowy wieczór świętujemy żydowski szabat. Mówią nam wtedy, że warkocz na chalcie symbolizuje pięć filarów islamu. Ktoś mówi: „Niech Allah obróci się ku tobie i ześle ci *shalom*. *Shabbat shalom* (udanego szabat)”. Sufizm od kilkuset lat stanowi mistyczne serce islamu, lecz ta kalifornijska komuna odarła go z islamistycznych korzeni. Wszyscy tu uważają się za sufich, ale mało kto nazywa siebie muzułmaninem. Obija się tu o siebie tyle różnych bóstw, że sam czuję się duchowo posiniaczony. Kiedy pytam o to innego uczestnika obozu, słyszę:

– Sufizm nie każe mi wybierać. Mogę doświadczyć wszystkich tych wspaniałości.

Religijny miszmasz. Trochę tego, trochę tamtego. Byle smakowało. Nie przekonuje mnie takie podejście. Eksperymenty nie są niczym złym – Mahatma Gandhi był wielkim miłośnikiem eksperymentowania, nawet swoją autobiografię zatytułował *Dzieje moich poszukiwań prawdy* – ale w którymś momencie należy zakończyć doświadczenie, dokonać wyboru i, jak to się mówi w świecie konsumpcjonizmu, udać się do kasy.

Amerykanie tego nie robią, dlatego właśnie szybko stają się narodem ludzi „religijnie niesklasyfikowanych”. Badanie przeprowadzone niedawno przez Trinity College wykazało, że najprężniej rozwijającą się grupą religijną to właśnie grono niesklasyfikowanych. Nie chodzi o niewierzących – zaledwie dziesięć procent tych ludzi uważa się za ateistów. Cała reszta przypuszczalnie korzysta z całego dobrodziejstwa religijnego bufetu i jeszcze przychodzi po dokładkę. Bo czemu by nie? Jeszcze nigdy w historii tylu ludzi nie miało dostępu do tak wielu religii naraz, i to praktycznie bez ryzyka. Szanse na śmierć na stosie ostatnio znacznie zmaleły. Żyjemy w czasach bezbolesnego nawrócenia. Dwa tysiące lat temu Arystofanes napisał, że „powietrzne Wiry zrzuciły Zeusa z tronu”. Wirujemy więc, dobierając i łącząc religie jak rękawiczki czy torebki. Kościoły organizują kursy jogi, w synagogach można się zapisać na medytację. Możemy mieć wszystko, a przynajmniej tak nam się wydaje.

Czuając, że tracę kontakt z grupą, dryfuję w kierunku innych trzymających się na uboczu: świeżo rozwiedzionego pediatry, który przyjechał tu potańczyć, afgańskiej królowej piękności i przedsiębiorcy paliwowego o imieniu Hodi vel Marlin. Ten ostatni nosi koszulę w szkocką kratę i niemodne grube okulary. Wygląda tu równie nie na miejscu jak ja, jednak w odróżnieniu ode mnie od kilkudziesięciu lat jest praktykującym sufim. Proponuje mi, żebym zabrał się z nim, kiedy będzie jechał do miasta po zaopatrzenie. Z chęcią na to przystaję.

– Czym tak właściwie jest sufizm? – pytam go, kiedy już suniemy jego pikapem.

– Otwarcie drzwi serca – odpowiada. – Miłością Boga.

Brzmi dobrze, ale czy nie można tak określić wszystkich religii? Hodi chyba wyczuwa moje wątpliwości, bo mówi dalej:

– Sufizm to szkoła mądrości. Cała nasza rzeczywistość jest stworzona w taki sposób, by pobudzać nas do zdobywania mądrości, coś jak rosnąca stawka w kasynie.

Później dodaje, że sufi, owszem, istnieją na tym świecie, ale nie są z tego świata. W ciągu najbliższych kilku miesięcy jeszcze nie

raz dane mi będzie usłyszeć to zdanie. Hodi twierdzi też, że wbrew powszechnym opiniom, mistycy nie wypisali się ze świata realnego, ale są weń głęboko zaangażowani.

– Rzucają się w rzeczywistość z wielkim rozbryzgiem – wyjaśnia, a ja zaczynam się zastanawiać, jaki to dźwięk.

– To fajnie – mówię – ale możesz mi wyjaśnić, po co te tańce, trzymanie się za ręce i patrzenie sobie prosto w oczy? No wiesz, te wszystkie wariactwa.

– Jasne, wyczyniamy różne wariactwa – mówi bez skrępowania.
– Wszystkie religie tak mają.

Nie mogę się z nim nie zgodzić i sędzę, że poprze mnie każdy, kto kiedykolwiek brał udział w katolickiej mszy albo żydowskim weselu.

– Rumi pisze o wyższych przyjemnościach – kontynuuje Hodi, odwołując się do myśli wielkiego sufickiego poety, który tworzył w XIII wieku, lecz ani trochę nie stracił na aktualności. – Musisz je poznać. Sęk w tym, że chrześcijaństwo skręciło w lewo... – peroruje, skręcając w prawo na autostradę Pacific Coast, co na chwilę wybija mnie z rytmu – ...i wpakowało się w schemat winy i wstydu. Ludzie się zniechęcili.

Pytam Hodiego, co mam zrobić, żeby jak najwięcej wynieść z pobytu w obozie sufich.

– Rzucę ci wyzwanie: postaraj się na chwilę przestać myśleć – mówi.

Bardzo mi się nie podoba ta odpowiedź. Wolałbym, żeby powiedział: „Rzucę ci wyzwanie: postaraj się ukończyć zawody triathlonowe”, albo nawet: „Postaraj się wyhodować nową kończynę”. Wszystko, wszystko byłoby lepsze niż zakaz myślenia. Myślenie jest dla mnie jak oddychanie, choć może bywa mniej produktywne.

– Spróbuj sobie potańczyć – sugeruje Hodi, kiedy zwierzam się z mojego problemu z intelektualnymi przestojami. – To cię natychmiast wyłączy.

Postanawiam nie uświadamiać go, że tancerz ze mnie żaden i że chyba wolę przestać myśleć, niż zacząć tańczyć.

Hodi kupuje prowiant, a ja zaglądam do kawiarni i sprawdzam pocztę. Nic. Wyraźnie świat doskonale radzi sobie beze mnie, co

mnie jednocześnie uspokaja i przygnębia. Hodi zabiera mnie z kafejki. Po drodze mówię mu, że miasteczko i nasz obóz to dwa różne światy.

– Tylko w takim stopniu, na jaki się godzisz – stwierdza wesoło, a ja przez resztę podróży jego śmierzdzącą papierosami półciężarówką zastanawiam się, co miał na myśli.

Po trzech dniach pobytu na obozie sufich niespodziewanie natykam się na odrobinę islamu pod postacią wielkiego misiowatego faceta imieniem Bilal. Pochodzi z Kalifornii i kiedyś był surferem, ale patrząc na niego, trudno się tego domyślić. Ma długą rudawą brodę i małe oczka, które wyglądają na wiecznie zmrużone. Nosi czapkę *kufi* i długą powiewną szatę, w jakich widuje się imamów na całym świecie. W rękach obraca brązowe paciorki *subhy*, czyli muzułmańskiego sznura modlitewnego. Wygląda, jakby właśnie wyszedł z meczetu w Kairze, co zresztą nie jest dalekie od prawdy. Bilal studiował sufizm w Sudanie i bardzo to po nim widać. Pięknie mówi po arabsku. Nawet jego gesty – to, jak porusza dłońmi niczym dyrygent – wyraźnie kojarzą mi się z Arabami. Obecnie mieszka w Berkeley, gdzie – mimo jego niezwykłego wyglądu – nikt nie zwraca na niego uwagi. Fakt, w Berkeley trudno zrobić wrażenie czymkolwiek. Trzeba by się chyba podpalić. Albo zostać republikaninem.

Bilal objaśnia, że będziemy odmawiać *dhikr*, co dosłownie znaczy „wspominanie” albo „powtarzanie”, a jest swoistą litanią. Dla sufich to podstawowa forma modlitwy. Nie jest to bezmyślne powtarzanie słów i zwrotów, lecz inwokacja, w którą angażują się całe ciało i dusza. „Przypomnienie wędruje z języka przez umysł do serca, gdzie można je znaleźć zawsze” – pisze Seyyed Hossein Nasr, uczony irańskiego pochodzenia. *Dhikr* przypomina *Modlitwę Pańską*: „Bądź wola Twoja”. Nasr wyjaśnia, że podczas *dhikr* należy „podać całą swoją wolę i umysł Bogu, oddać całą swą istotę w Jego ręce”.

Jak wiadomo, Bogiem muzułmanów jest Allah. Imię to często występuje w parze z określeniem *hu Akbar* („jest wielki”), a to wyrażenie czasami – chociaż nie zawsze – zwiastuje solidny wybuch.

Religię łatwiej przyjmować z otwartym sercem niż z otwartym umysłem. Moja dotychczasowa wiedza, niekompletna i niedoskonała, stoi mi na przeszkodzie. Wiem o islamie wystarczająco wiele, by mnie niepokoił, i niewystarczająco dużo, by mnie zainspirował.

Bilal uczy nas szahady, najważniejszej islamskiej modlitwy, wyznania wiary, którą muzułmanie codziennie powtarzają. Jest dla nich jak oddychanie. Dla mnie to jak oddychanie pod wodą. Modlitwa nie przychodzi mi bez wysiłku. Podejrzewam, że to przez багаż moich złych doświadczeń. *La ilaha illallah, Muhammad rasulu-llah* – „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem” – mówi Bilal, przykrywając oczy i pokazując nam otwarte dłonie. Jego arabski jest nienaganny. Powtarzamy za nim. *N a s z* arabski jest naganny. W języku tym jest dużo wibracji. Dźwięk ma znaczenie. Trochę mi to zajmuje, ale w końcu rozumiem, o co chodzi, i muszę przyznać, że melodia tych słów uspokaja, niemal hipnotyzuje. Powtarzamy ten zwrot w nieskończoność: *La ilaha illallah...*

Nie ma Boga prócz Allaha. Co to właściwie znaczy? Zawsze wydawało mi się, że słowa te mają potwierdzać jego wyższość nad innymi bóstwami. Nie ma Boga oprócz *m o j e g o* Boga. Bilal twierdzi coś innego. Ten zwrot znaczy: nie ma *n i c* oprócz Boga. Sufi widzą Boga wszędzie. Nie są panteistami – nie wierzą, że wszystko jest Bogiem – lecz są zdania, że w otaczającym nas świecie można dostrzec ślady boskości, jeśli tylko się człowiek postara. W Koranie napisano: „I gdziekolwiek się obróćcie, tam jest oblicze Boga”. Nie będzie to Jego prawdziwa twarz, ale Bóg w przebraniu, który mówi: „Byłem ukrytym skarbem, nikt mnie nie znał i zapragnąłem, by mnie poznano”.

To właśnie starają się zapamiętać sufi. Pamięć to przecież forma wiedzy. Platon twierdził, że prawdziwa wiedza to *n i c i n n e g o* jak pamięć. Tak więc: nigdy nie nauczymy się niczego, czego byśmy już nie wiedzieli, nawet jeśli nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Wiedza sufich nie pochodzi z książek. Kochają je czytać, ale nie podejrzewam, by byli zwolennikami podkreślania. Oni szukają bezpośredniego wglądu, intuicyjnego pojęcia (mistycy nazwaliby to raczej

„niewiedzą”). Chodzi o to uczucie, kiedy wiecie, że piekarnik jest gorący albo że zakochujecie się w osobie po drugiej stronie pokoju, chociaż nikt jej wam jeszcze nie przedstawił. Sufi nie są ruchem antyintelektualnym, ale starają się równoważyć racjonalne odruchy dużą dawką serca.

Bilal to samo serce. Gestykułuje niczym muzułmańska wersja dyrygenta André Previna, przytupuje i zachęca nas do powtarzania wyznania wiary, w kółko i bez przerwy, w różnym tempie i z inną intonacją.

– Musimy robić to z pasją, szaleć i wariować – mówi, dopuszczając do głosu swoją surferską osobowość. – To nie jest zwyczajna miłość. To s z a l o n a miłość. To fatalne zauroczenie. O taką właśnie pasję i szaleństwo mi chodzi.

– *La ilaha illallah...* – powtarzamy.

– Okej, odetchnijcie pozytywną stroną jedyne Boga – mówi Bilal, sugerując tym samym, że nie wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć imion Stwórcy jest równie atrakcyjne. Sufi nie koncentrują się na Bogu Niszczycielu, tylko na Bogu Miłosiernym – któż może ich za to winić? Bilal zdążył się mocno nakręcić, a kulturowy dysonans robi się coraz bardziej zauważalny. – Powiedzcie to ze wszystkich sił. Włóżcie w to całe wasze aj-waj – mówi, a ja się zastanawiam, do którego z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha teraz nawiązuje, do Boga Koszernego?

– *La ilaha illallah* – odpowiadamy.

– Włóżcie trochę energii w końcówkę – *illallah* – żeby wyrzucić z siebie gniew.

Podążam za jego radą i zauważam, że moje rezerwy gniewu zrobiły się już całkiem pokaźne.

Kiedy kończymy *dhikr* i sala pogrąża się w błogiej ciszy, nagle czuję za sobą jakiś ruch. Odwracam się i widzę kobietę, która kręci się jak... derwisz. Bo jest derwiszem. Słyszałem o nich, ale nigdy żadnego nie widziałem. Przyglądam się z zapartym tchem, albo raczej z resztką tchu. A ona wiruje i wiruje, jakby mogła to robić przez całą wieczność. Sukienka powiewa wokół niej jak pierścienie